

Ponura wizja przyszłości

2 lutego 2014

Cieężko jest podnieść się z łóżka po kolejnej nieprzespanej nocy. A wydawało mi się, że przyzwyczailem się już do tych pieśni, które dobiegając z powierzchni ulicy, co wieczór mącą moją ciszę. No, ale cóż zrobić, przecież nie będę się temu sprzeciwiał. Przynajmniej nie publicznie.

Powstałem w końcu z łóżka, wmawiając sobie, że mój aktualny poziom wyspania pozwoli na godne przeżycie całego dnia pracy. "Ech... Nigdy nie wiem gdzie one są..." – pomyślałem, rozglądając się po kątach za moimi wiernymi klapkami. Zajrzałem pod łóżko i odsuwając ładny, ale zakurzony krzyż, wydobyłem dzielnie klapki, które w magiczny sposób co rano znajdują się w innym miejscu. Rozpocząłem więc swoje codzienne, nudne przygotowania do wyjścia. Pracuję w Miejskim Zakładzie Uboju Rytualnego i ze względu na wątpliwości co do mojego pochodzenia czy religii, nie mogę piastować zbyt wysokiego stanowiska w tej placówce. Może to i dobrze... Nawet zabijanie karpia na święta, zawsze przychodziło mi z trudem i przyprawiało o mdłości.

Wyszedłem z domu, rozmyślając o dniu, który niewątpliwie już się rozpoczął i sądząc po wysokości słońca nad horyzontem, nie ma zamiaru niestety skończyć się zbyt szybko. I niczym nieuchronnie, nagle kończąca się wódka – zawsze wywoływało to u mnie niemiłe zaskoczenie, ponieważ widok nisko położonego słońca, który porównuję do pustej flaszki, wyrwa mnie z porannego otępienia i transu pozwalającego mi na wizje szybko nadchodzącego wieczoru. W drodze do pracy mijałem ludzi, którzy tak jak ja, gdyby nie musieli to najchętniej nigdy nie opuszczaliby swego azylu. Widziałem mężczyzn stawiających czoła trudom codzienności i kobiety, których, nawet gdybym bardzo chciał, nie byłbym w stanie na ulicy rozpoznać. Norma. Pogodziłem się już z tym. Tak mi się wydaje.

Ptaki dziwnie ponuro realizowały swój poranny repertuar,

jednak skutecznie tłumione były przez uliczny szum. Niemożność skorzystania z transportu publicznego, co dzień zmuszała mnie do kilkukilometrowej pieszej wycieczki do miejsca pracy, dlatego mogłem po drodze na spokojnie zająć się kontemplacją różnych codziennych zjawisk. „Czy to może być on...?” – takie pytanie przeszło mi w pewnej chwili przez myśl i miałem rację.

– Nooo! Siemasz stary druhu! – krzyknął entuzjastycznie człowiek, którego przed momentem udało mi się zidentyfikować. Był to Ajwen, mój stary znajomy, z którym los jakiś czas temu mnie rozdzielił. – Ile to już się nie widzieliśmy? Rok? Dwa? – spytał z podnieceniem Ajwen.

– Mam wrażenie, że minęło nawet i 10 lat! Kiedyś codziennie byłem skazany na widok Twojej mordy! – odrzekłem z uśmiechem, a Ajwen się roześmiał. – Co u Ciebie, stary? – spytałem zaniepokojony, prowadząc go w ustronne miejsce.

– Aaa, powolutku... Myślę, że mój przeciętny dzień nie różni się specjalnie od twojego. Praca, dom, praca, dom. Standard. Bywało lepiej, ale po co ciągle narzekać – odrzekł Ajwen z wymalowanym uśmiechem na twarzy, ale w jego oczach dostrzegłem błysk zrezygnowania.

– A Twój syn? Co u niego? Do przedszkola chodzi? – zapytałem widząc oczami wyobraźni małego chłopca nieudolnie kopiącego piłkę.

– No chodzi, chodzi. Ale ma problemy. Mówią, że agresywny jest. Ostatnio ponoć pogryzł nauczycielkę. Szczerze mówiąc nie dziwię się, bo gdy słyszę co opowiada mi gdy wraca do domu... W dodatku ciągle wodę marnujemy na ścieranie tych szminek i tuszów – odrzekł kolega z zażenowaniem w głosie. – Chyba my, nasze dzieciństwo będziemy wspominać i wspominamy zupełnie inaczej...

– Racja, racja. To były inne czasy. Wystarczyło, że nauczyliśmy się „Murzynka Bambo” na pamięć i było dobrze.

Nagle poczułem silny cios. Zanim upadłem na ziemię, ujrzałem trzech przedstawicieli czarnej rasy. Byli wysokimi, postawnymi młodzieńcami. Ajwen nie otrzymał uderzenia, ale zaczął cofać się, w pewnym momencie napotykając plecami ścianę. Podniosłem się ciężko, ocierając ręce ze zwiru i dołączyłem do przyjaciela. Nie mogliśmy uciekać. Staliśmy w bezruchu nie mogąc wykrztusić z siebie słowa. Oni też nic do nas nie mówili, ale dlatego, że nie znali Naszego języka. „Którym, kurwa, słowem przyciągnąłem ich uwagę?” – pomyślałem szybko. Czarni „porozumiewali” się z nami jedynie niewerbalną drogą. Oprócz tego ciosu, nie wykonali jak na razie jakichś nadzwyczaj agresywnych ruchów. Najwyższy z nich podszedł do nas układając z wskazującego i środkowego palca lewej ręki literę „V”. Wskazał tymi palcami na swoje oczy a po chwili na moje. Zrobił to bardzo powoli i dokładnie. Tak, żebym zapamiętał i zrozumiał znaczenie tego gestu. Mieli już odchodzić, ale uraczyli nas jednak pożegnalnymi kopami w brzuch. Tym razem i Ajwen został obdarzony soczystym „partyzantem”. Przez kilka chwil leżeliśmy, co chwilę wydając jęk bólu. Wstałem jako pierwszy i pomogłem mojemu kompanowi. Nikt z przechodniów nas nie widział, gdyż po naszym przypadkowym spotkaniu, poszliśmy w odosobnione miejsce aby móc spokojnie porozmawiać.

– Ej! Wszystko dobrze? – spytałem ciężko oddychając.

– C...co się stało? – odpowiedział pytaniem Ajwen łapiąc oddech.

– Czego oni chcieli?

– Hmm... Nie nauczyli się naszego języka, ale tego jednego słowa trudno im nie znać.

Otrzepliśmy się z piachu i lekko zgięci poczęliśmy opuszczać cichy zakątek. Po chwili znowu staliśmy wśród przechodniów udając, że po prostu zgubiliśmy drogę. Paradoksalnie, po części byłem wdzięczny tym trzem tajemniczym panom. Przynajmniej na kilka minut zapomniałem o pracy, która mnie czeka. A teraz te myśli powróciły. Pożegnałem się pośpiesznie

z kumplem i postanowiłem, niewzruszony kontynuować drogę. Krew lecącą z podbródka tamowałem lewą stroną płaszcza.

Szedłem dalej mijając restauracje, puby i bary. Wiele z nich w godzinach wieczornych kusiło tłum flagami i proporczykami w kolorach tęczy. Były popularne, jak niegdyś stadiony sportowe. Powoli zbliżałem się do celu. Były to właściwie obrzeża miasta, gdzie zaczynały pojawiać się już nieduże farmy, czy pola. Zacząłem odczuwać niemiłe zapachy przywodzące na myśl świeżo „wyprodukowany” nawóz. Wszedłem do szarego budynku, do świątyni rytuałów.

– Good me...morning Abdul! – dałem znać łamaną angielszczyzną przełożonemu, o moim przybyciu do pracy.

– Hello, Hello. Go to work. Faster! – odpowiedział mi Abdul, podając mi robotniczy uniform.

Nie ma co opowiadać o tej robocie. Polega ona na konserwowaniu powierzchni płaskich. Codziennie patrzę na nieczyste smugi krwi na podłodze, które po chwili mieszane są z wodą w kubie. Czystość... i higiena pracy. Jak najbardziej humanitarne warunki. Widzę – prowadzą karkówkę. Karkówka jednocześnie jest też np. polędwicą, łopatką czy rostbefem. Już nieźle się nauczyłem, robię postępy. Po unieruchomieniu za pomocą sznurów, prowadzą ją do jakiegoś dziwnego metalowego okręgu, gdzie obracana jest o 180 stopni, aby po wszystkim nieczystość mogła swobodnie spłynąć na ziemię. Następnie tylko domyślam się co się dzieje, bo zawsze w tym momencie odwracam wzrok. Słyszę jedynie coś w stylu modlitwy lub jakiejś tajemniczej formuły a później brzęk stalowych ostrzy. Przez kilka minut z karkówki ulatuje duch i krew. Po jakimś czasie nareszcie ja mogę wkroczyć do akcji czyniąc swoją powinność. Tego dnia jak zwykle – wziąłem szmaty, wiadro i kilka innych przedmiotów, które umożliwiały mi skuteczne działania.

Zakończyłem pracę na dziś. Rozpocząłem podróż powrotną czując, że najlepszy moment dnia właśnie nadszedł. Znowu świeże

powietrze. Gdyby nie maksymalne zmęczenie, mógłbym spróbować iść się zabawić napędzany radosną ulgą. Zaczynam zauważać negatywną harmonię w moim codziennym życiu. Wracałem jak zwykle rozmyślając o tym, że jutrzejszy dzień będzie wyglądał dokładnie tak samo. Nic się nie zmienia.

Przekroczyłem próg mego mieszkania, ale nie poczułem się jak w domu. Zjadłem szybko resztki śniadania i przygotowałem się do snu. Zasypiając, można powiedzieć, że teleportuję się błyskawicznie do kolejnego dnia, czego nie lubię. Na szczęście, śpiewana poezja ulicy ponownie nie dała mi zasnąć i utrzymała mnie przy świadomości.

Autor: GNLS

Źródło: WolneMedia.net